Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci. No. 24. Leszno, dnia 17. Grudnia 1836.



Żniwiarze rzymscy.

Minał czas, kiedy zwycięzki Rzymianin,
Legii swoich świat czyniąc obozem,
Plon krwawych bitew i hołdownych danin
Wiózł, tłumy jeńców prowadząc za wozem.

Rzymskiego ludu potęga dziś: praca,
Plonem i jeńcem: snop zżęty na polu;
A jednak patrzaj! gdy od żniwa wraca,
Rzekłbyś zwycięzca w bramy Kapitolu.

Łachman jak togę zarzucił na ramię,
Skroń okrył wieńcem z latorośli winnej,
I w twarzy jeszcze starożytne znamię
Mocy, godności i dumy rodzinnéj.

Kształtem do bożka podobny posągu,
Otoczon gronem wesołych żniwiarzy,
Przy głośnym brzęku łańcuchów zaprzągu,
On nie o żniwie; o tryumfie marzy.

I tychto marzeń siła tajemnicza,
Że choć z dusz Rzymskie czucia wywietrzały,
Lud Rzymski dotąd, z postawy, z oblicza,
Jest jak nagrobny posąg Rzymskiéj chwały.

Powyższy obraz sławnego malarza Leopolda Robert, o którym zob. Przyj. Ludu, rok drugi, N. 1., zdobiący teraz pokoje króla Francuzów, równie jak wiersz, wyjęliśmy z zapowiedzianego już dawniéj, dopiero co wyszłego z druku noworocznika Melitele w Lipsku u Breitkopfa i Härtla: jest to ciąg dalszy Meliteli Pana Odyńca, który i tą razą zgromadził płody znakomitszych poetów w strojny wieniec, i ten plonami swéj muzy i kilku własnemi powieściami zbogacił.

Aby czytelnikom naszym dać poznać płynny i ujmujący talent P. Odyńca w opowiadaniu, umieszczamy tutaj powieść:

Przestroga.

Szczęśliwy! kogo Pan Bóg tak napomnieć raczy,
Że źródło grzechów swoich sam w sobie zobaczy,
I zbawienną ich następstw przejęty obawą,
Grzech, zgryzotę i karę uprzedzi poprawą.

Było to w późnéj jesieni 1812 roku, gdy ostatnie kolumny francuzkiego wojska, po większéj części z rannych i z rozproszeńców złożone, ustępując przed coraz bliższą pogonią, i dążąc za armią główną, przechodziły koleją przez miasteczko litewskie Smorgonie, na trakcie między Mińskiem a Wilnem leżące, gdzie każda z nich miała wskazany sobie całodzienny odpoczynek. Dowódzcą jednéj z takich kolumn był polak, major S. dawny legionista. Ranny w bitwie nad Berezyną, pozostał był w lazarecie w Mińsku, gdzie przyszedłszy nieco do zdrowia, objął powierzone sobie dowództwo nad przeszło stu ludźmi, równie jak on niedawno z ran uleczonymi, którzy woleli resztę sił i życia ważyć na trudy i niebezpieczeństwa, w celu zdążenia za bracmi; niż pozostawszy spokojnie na miejscu, oczekiwać pewnéj niewoli.

Był właśnie dzień targowy, gdy kolumna do miasteczka przybyła. Wielu z sąsiednich obywateli, znajdujących się na targu, dowiedziawszy się, że dowódzcą jéj jest Polak, pospieszyli do niego; jedni, aby według możności powierzyć na ręce jego, wsparcie dla chorych i rannych żołnierzy; drudzy w prost dla pogadania, i zaspokojenia swojéj ciekawości. Widok człowieka porwanego wirem wypadków, na które sami z daleka, a jednak ze drżeniem patrzają, jest zwykle najciekawszym dla ludzi; i rzecby można, że ma dla nich ten sam rodzaj dzikiéj ponęty, jaka zgromadza widzów nad brzeg rzeki, patrzeć, jak człowiek w niéj tonie.

Pan major rad był serdecznie z gości. Obecność ziomków, dzielących jego uczucia, i zajmujących się szczerze położeniem jego, dopomogła mu do rozpędzenia czarnych trosk i myśli, które znać było, iż w duszy i na czole jego ciążyły. Obfity jak mógł być na prędce obiad, i spełnione w ciągu jego kielichy, ożywiły serca obecnych i rozniecily w nich dawno już obcą wesołość; zaczęła się żywa i głośna rozmowa. Dzień był posępny i mglisty, niebo grubemi zaciągnięte chmurami, i zmrok zawsze w téj porze roku wczesny, zapadł rychléj niż się spodziewano. Długo nikt z zaprzątnionych rozmową, nie zwracał uwagi na zwiększającą się w pokoju ciemność, choć wpływ jéj coraz wyraźniéj dawał się czuć w saméjże rozmowie. Zdawało się, że barwa posępności wieczornéj, spadała na myśli mówiących, i na przedmioty, o których chwila jeszcze z zapałem i z nadzieją mówili. Wszyscy czuli wewnętrznie, że w przykrą materyą zabrnęli; każdy siebie i drugich radby był od niéj oderwał; lecz nikt, bojąc się posądzenia o płochość lub obojętność, nie śmiał wprowadzać pierwszy nowego i weselszego przedmiotu. Powoli więc wszyscy zamilkli; — lecz naówczas, — otaczający ich pomrok jesienny, posępny świst wiatru na dworze, szum i skrzypienie drzew nagich przed oknami rosnących, a nadewszystko ponure myśli każdego, milczenie to uczyniły przykrzéjszem jeszcze, niż była poprzedzająca rozmowa. Nadaremnie podano świece, i przyniesiono nowe butelki; — światło nie rozjaśniło myśli, wino nie rozweseliło serca; — ze skwapliwością więc przyjęli wszyscy wniesienie jednego z gości: ażeby zabawić się w karty. Posłano po nie, i Pan Major, jako chwilowy gospodarz domu, założył bank w faraona. Poniterowali wszyscy; ci którzy przybyli z zamiarem ofiarowania pieniężnego wsparcia żołnierzom i samemu dowódzcy, a uderzeni powagą Majora, do rąk mu go oddać nie śmieli, radzi byli ze zdarzenia, iż nie obrażając ani swojéj ani jego delikatności, mogli niewidomym sposobem dopiąć celu swojego; grali więc na zakryte, a bank coraz się zbogacał.

W rzędzie grających był młody obywatel, Pan L. — Dziedzic znacznego po rodzicach majątku, stateczny, światły i dobrze myślący; nie zbywało mu na zaletach i sposobach, przez któreby mógł szacunek i miłość u współobywateli pozyskać. Jedna wada psuła to wszystko, — jedna, którą w nim upatrywano — zbyteczna miłość pieniędzy. Nie było to łakomstwo ni sknerstwo; — Pan L. nigdy się nie upodlił, ani skrzywdził drugich dla zysku; nie uciemiężał poddanych dla pomnożenia intraty; przeciwnie, zaraz po objęciu gospodarstwa, znaczne im ulgi w pańszczyznie i w daninach poczynił. W domu jego nikt ze sług i czeladzi nie uskarżał się na niedostatek i niewygodę; nikt z gości na nieuprzejme przyjęcie; żaden wieśniak bez kieliszka wódki, żaden żebrak nie nakarmiony i z próżną torbą nie odszedł; — nawet nigdy Bernardyn, ile razy po kweście dom Pana L. odwiedził, nie wyjechał z niego, nie pomnożywszy swéj trzody jednym przynajmniéj baranem. Dobroczynność Pana L. nie ograniczała się na tém; nie raz w okolicy uboga wdowa lub opuszczony starzec, z podziwieniem odbierali od niego zasiłek w zbożu lub w domowych produktach, o który go sami prosić nawet nie śmieli. A jednak pomimo to wszystko, Pan L. w całém sąsiedztwie miał tytuł i opinią skąpca. Nikt nie chciał zadać sobie pracy, aby ogół jego postępowania roztrząsnąć; nikt nie czuł pobudki, aby wziąść jego obronę, i walczyć w jego sprawie z opinią powszechną, która też, wyznać potrzeba, nie była bez pewnéj zasady. — Rzecz zaś tak się miała w istocie: — Pan L. z natury tkliwy i dobroczynny, lubił uszczęśliwiać otaczających siebie; lubił wspieraniem potrzebnych sercu swojemu dogadzać; a to tém bardziéj, że czyste uczucie

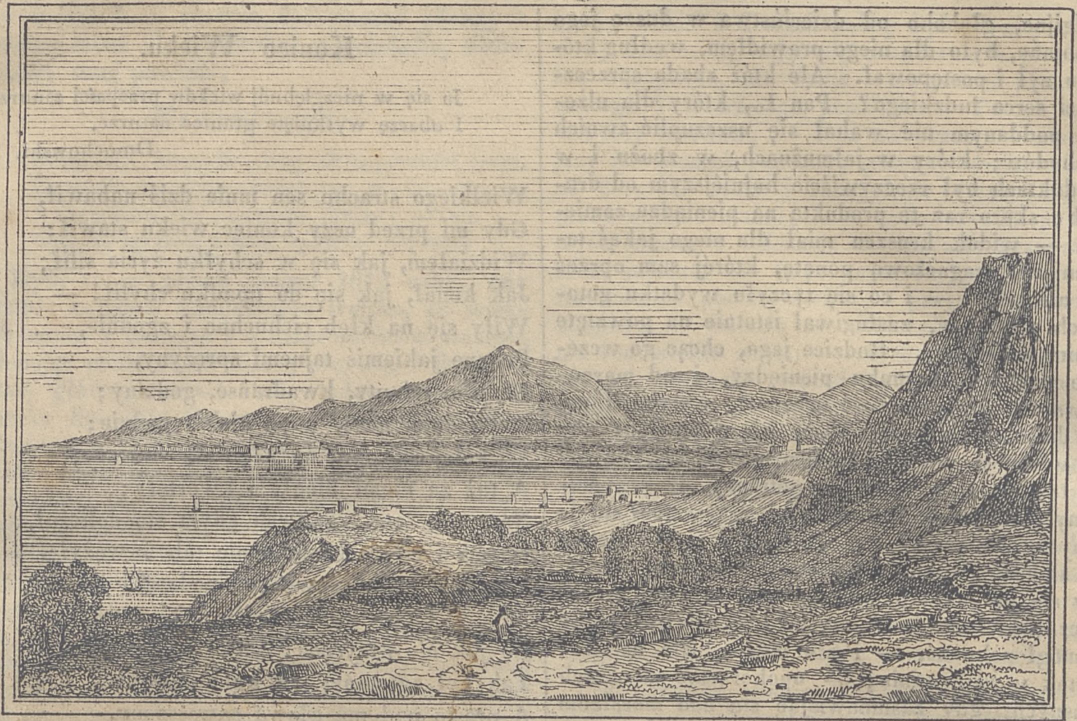
religijne, głęboko od dzieciństwa w duszę jego wpojone, było dla niego prawidłem, według którego żył i postępował. Ale któż zbada sprzeczności serca ludzkiego? Pan L., który dla ulżenia poddanym nie wahał się uszczuplić swoich dochodów; który w jałmużnach, w zbożu i w produktach był rzeczywiście hojniéjszym od drugich; skoro raz te produkta na pieniądze zamienił, — widok kruszcu miał dla niego jakąś tajemniczą, magnesową ponętę, któréj sam oprzeć się nie mógł; — i co się tyczyło wydatku gotowych pieniędzy, zasługiwał istotnie na powzięte o nim mniemanie. Rodzice jego, chcąc go wcześnie nauczyć szacunku pieniędzy, i od marnotrawstwa na przyszłość uchronić, wmawiali mu od dzieciństwa przesadzoną ich wartość, i aby go własném doświadczeniem przekonać, dawali mu tak mało na konieczne potrzeby, iż przymuszony nawykać do oszczędności, przywiązał się do samych pieniędzy. Pan L. znał sam wewnętrznie słabość swoję, lecz poznał ją dopiero wtedy, gdy się już stała nałogiem; czuł całą jéj niedorzeczność i śmieszność; myślał i rozumował, jakby ją mógł pokonać, — i nie mógł. Nie ustawał jednak w usiłowaniu; — upokorzenie w oczach własnych, gdy zastanawiając się nad moralném kształceniem się swojém, postrzegał, jak go ta wada odciąga w tył i poniża; — upokorzenie w towarzystwie równych sobie: — gdy albo przez bojaźń wydatku od zabaw ich uchylać się musiał; albo choć je podzielał, nie mogąc ukryć bojaźni téj i pomieszania, na śmiech się i żarty wystawiał — upokorzenie to było dla niego ustawicznym bodźcem, do ustawicznéj walki z samym sobą. — Ale że niema złego, coby w jedném lub w drugiém na dobre, jak mówią, nie wyszło; — Pan L. w téj saméj słabości, nad któréj pokonaniem pracował, znalazł silną pomoc i wsparcie przeciwko innéj namiętności, zgubniéjszéj bez porównania w skutkach, i bardziéj każącéj charakter — namiętności do kart. Z dzieciństwa powziął wielkie w nich upodobanie, które się tem bardziéj w nim wzmogło, że mu ojciec surowo wszelkiéj gry zabraniał; lecz stawszy się wkrótce zupełnym panem woli swéj i majątku, miłość pieniędzy i obawa przegranéj, były jedynym i zbawiennym dla niego hamulcem, który go od zabrnięcia w haniebny nałóg powściągał. Skłonność jednak zawsze została, i ile razy Pan L. wdał się w grę, choć dla zabawy tylko, brała w nim górę nad zimną krwią i umiarkowaniem, tak dalece, iż ktoby go po raz pierwszy grającego widział, mógłby łatwo posądzić go, nie o skąpstwo, lecz raczéj o rozrzutność i zbyt lekkie ważenie pieniędzy. Po przejściu dopiero chwil zapału, następowała rozwaga, a z nią żal i zgryzota. Żeby więc tego uniknąć, Pan L. poprzysiągł sam w sobie, nie wdawać się nigdy w grę żadną, i unikał starannie wszelkiéj zręczności i pokusy do złamania swych postanowień.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Koniec Wieku.

Ja się w niezgłębnéj wieków przepaści zanurzę,
I obaczę wytknięte granice naturze.
Dmochowski.

Wielkiego strachu sen mnie dziś nabawił,
Gdy mi przed oczy koniec wieku stawił:
Widziałem, jak się w schyłku życia silił;
Jak konał, jak się do upadku chylił! —
Wiły się na kłęb cichuchno i zgodnie,
Pchane jakiemiś tajnemi sprężyny,
Chwile, minuty, kwadranse, godziny;
Daléj dnie, noce, a po nich tygodnie;
W koléj miesiące na kłęb się wartały;
A tuż za niemi biegły i kwartały;
Nareszcie lata. — Tych gdym sto doliczał,
Ogrom i ciężar kłębu mnie tak strwożył;
Żem z strachu głowę pod poduszki włożył,
I com miał gardła zakrzyczał. —
Bo jak nie krzyczeć? kiedy kłąb zwiniony
Tak był ogromny, jak kula téj ziemi,
A prosto nad mą głową zawieszony,
Groził i czołem i bokami swemi. —
Wiedząc, że wkrótce w wieczność się zapadnie,
Bo go wiek nowy nieścierpi na świecie,
Pewnym był, że swym ciężarem mnie zgniecie,
I widziałem się już w przepaści na dnie. —
Wtém mi się straszny widok stawia w oczy,
Który mnie trwogą jeszcze wskróś przeraża;
I choć na jawie, okropnie zagraża;
A serce smutkiem i żałobą tłoczy. —
Śród ciemnéj, martwéj, bezdennéj otchłani,
Wznoszą się czarne z Hebanu dwa trony;
Na jednym starzec skrzydlaty, zgężony,
Na drugim siedzi kościotrupna pani.
Oboje zbrojni w śmiercionośne kosy,
Tną bez ustanku na około siebie,
I ścielą mnogie pod stopy swe stósy,
Które olbrzymia w sobie otchłań grzebie.
Stósy te pełne zwalisk i popiołów,
Z ludów i światów, wieków i żywiołów,
Niesycą wcale takowéj gardzieli,
Którąby oni wszystko połknąć chcieli.
Tną więc wciąż. — Taka niesytość obrusza,
I do przemówienia zmusza.
Więc się odezwę: a cóż wy poczniecie,
Aż do nicości gdy wszystko wytniecie?
Starzec wstrząsnąwszy siwy włos na głowie,
Chrapliwym głosem na to mi odpowie:
Gdy wszystko wytnę, w perzynę obrócę;
Wtedy dopiero i sam się wywrócę,



Widok z góry Karmelu.

I zniknę. — Ale godna jego żona,
Samowładnością męża obrażona,
Ofuknie: Jak to? tyś oddan w mą władzę;
Ja ci łeb zetnę; ja śmierć, ja cię zgładzę. —
W tém w górze postać mignęła nieznana,
W płaszcz nieśmiertelnéj przyszłości odziana,
A uderzając berłem w oba trony,
Rzekła do męża i żony:
Czasie! i śmierci! zdejmcie z ocz zasłonę:
Ja wieczność jestem. Wasze panowanie
W mojéj jest władzy; gdy zechcę, ustanie;
Ja i was pochłonę. —
Na to oboje padli na kolana,
Otchłań się wstrzęsła, jęk zagrzmiał do koła,
Potém znów cisza, cisza niesłychana!
Aż niewidomy głos jakiś zawoła;
„Wszystko jest niczém; na cóż się zda zwada?
„Jeszcze jest wyższy, co wiecznością włada!"

N. K.

Widok z góry Karmelu.

Karmel z kilku wierzchołków składający się przylądek Palestyny, na południe zatoki Ptolemais, 3 mile od tego miasta odległy: góry te okryte lasami, użyznione chłodnemi źródłami, zachwycający przedstawiają widok: cóż dopiero gdy wędrownik z téj wysokości spojrzy na morze, na miasto Ptolemaidę, któréj zaledwo w odległości słabe jego dosięgnie oko, na okręty pływające po morzu, i szukające w téj zatoce schronienia; widok ten czarujący wzbudza w nim niezwyczajne i mocne wzruszenie nowéj wcale radości i zachwycenia. — Góra Karmel ma wiele skał i jaskiń (liczą ich 2000) z tych niektóre z ciasnemi otworami, mają długie i kręte podziemne lochy: na wierzchu zaś kręte doliny, które pustelnikom i prześladowanym chrześcianom, nieraz służyły za schronienie. Do dziś dnia jeszcze pokazują jaskinią, w któréj niegdyś Eliasz miał mieszkać. Podług Jamblichiusza, Pitagoras powracając z Egiptu, na górze Karmelu czas niejaki bawił, a późniéj tutaj mnichy (karmelici) pierwszy założyły klasztor.

Krakowianka. (z Gołębiowskiego.)

Sposób ubierania się kobiet nie mało przydaje do ich urody: w stanie dziewiczym włosy plecione, a warkocz kolorową zakończony wstążką, od niechcenia na plecy spuszczony. Koszulka u kołnierza, naramników i rękawów karmazynowym zwykle przedzierzgana lub haftowana jedwabiem, albo ponsową bawełną. Mężatki ukrywają włosy pod siatką okrągłą, czepcem litym niekiedy, albo chustką białą, któréj końce spuszczają z tyłu na szyję. Gorsety noszą z kamlotu, czasem z atłasu lub innéj materyi jedwabnéj. Odziewają się z wierzchu szatą, kabatem zwaną; spo-



Krakowianka.

dnice kolorowe, fałdziste sięgają po kostki. Zamiast trzewików, noszą zwykle na wysokich korkach bóciki. Zimową porą majętniéjsze zwierzchnią mają suknią, barankami podszytą, nie dłuższą, jak po kolana, zręcznym krojem, wierzch granatowy lub zielony, prawie nigdy innego koloru. W czasie uroczystości wiejskich, dziewczęta ubierają głowy w axamitne lub łamowe złote czołenka, przystrojone mnóstwem wstążek.

Nasz obrazek wystawia Krakowiankę młodą, otoczoną dziećmi, przynoszącą w plecionce jagody na sprzedaż.

Wyimki z pamiętników młodego Pustelnika.

Jakto w tym wieku, wszystko na świecie opacznie i przewrotnie się dzieje; tak nie starzy, lecz młodzi znajdują się teraz pustelnicy, którzy lubo nie pokutą za ciężkie winy, nie zamkniętą w sobie pobożnością, do samotności przywiedzeni, sprzykrzyli sobie zarychło może świat, i odstrychnęli się od niego; lecz zamiast się zań modlić, pozwolili sobie w cichym swym zakątku złośliwe nad nim czynić uwagi. Znałem takiego odludka, taką nieużyteczną i złośliwą gadzinę, którą Bóg wczesną śmiercią powołał do innego przeznaczenia, jak do zatruwania spółbliźnim chwil szczęśliwych, czyli raczéj, jak on mówił, chwil, w których im się marzyło o szczęściu. Lecz ponieważ żyłem z nim w bliskich stosunkach, należy przeto do mnie, w oczach świata bronić go raczéj, a nie potępiać i oczerniać. Do tego obowiązku znagla mnie prócz tego ostatnia jego wola, przez którą mi powierzył swoje rękopisma, aby je dać światu poznać. Lecz obawiając się, żeby przesiąkłe hypokondryczną goryczą, nie odstręczyły wykwintnego smaku publiczności; wybrałem tylko takie kąski do Przyjaciela Ludu, które może będą miały przymiot, gorzkim rzeczom właściwy, zaostrzania apetytu, a gdy tenże będzie zaostrzony, całość dopiero okażę.

Najprzód przedmowa:

„Żyłem wprawdzie krótko, lecz nadto długo do poznania spółżyjących ludzi; byłżem między niemi szczęśliwy? W dostatkach się urodziłem, w dostatkach podług wszelkiego podobieństwa życie zakończę; a cóż jest szczęściem między ludźmi, jeżeli nie majątek. Kto śmie zaprzeczyć temu twierdzeniu, niech mi wskaże jakąkolwiek klassę ludzi, dla których pieniądze nie byłyby bóstwem? Którzyby za cel całego życia, niemieli zbogacenia się? Zacząwszy od żebraka, który więcéj jałmużny na dzień zbiera i więcéj marnotrawi, jak to, co mu nieodbicie do życia potrzebne, aż do bankiera, który posiadając nieprzeliczone bogactwa, tak czynnie się krząta, niesłychane robi zabiegi, aby więcéj pieniędzy zyskać. Gdzież zaś znajdziemy uczonego, któryby się trzymał zasady greckiego mędrca: „człowiek nie dla tego żyje, aby jadł i pił, lecz dla tego je człowiek i pije, aby żył, i któryby nie wychwalając téj zasady, podług niéj poprzestał na tém, co mu nieodbicie do utrzymania życia potrzebne. Ubóstwiają oni prawdzie tę wielkość duszy, dalecy są przecież od jéj naśladowania; największych chciwców znałem uczonych. Podług ludzi więc byłem szczęśliwym, podług siebie najnieszczęśliwszym. I cóż temu winien jestem, iż mi Bóg dał zbyt tkliwą duszę, i oko wskróś przenikające zbliżającego się do mnie człowieka? Niezastrasza mnie to, jak mnie nazywać będą ludzie; jakiém okiem na mnie spoglądać, jakie spomnienie po mnie między niemi zostanie; prawdę zawsze lubiłem każdemu powiedzieć, a prawda, która tak niezmiernie w oczy kole, ohydziła mnie wszystkim otaczającym. Ohyda ta wzrastała, im bardziéj głos prawdy się odzywał, im bardziéj złość ludzka przewrotném echem mu odpowiadała; ale niespokojny mój duch, nie daje mi miru, i lubo przeczuwam zbliżającą się śmierć, uwalniającą mnie od katuszy życia, przecież podaje mi ten zły duch pióro do ręki, aby z trucizną, którą mi wlewa, niezatarte niczém na ród ludzki wyrzucić obelgi. Jakże mówiąc o ludziach, niemam mówić o obrzydliwych namiętnościach, które się im w żywotne soki zamieniły? Malarz czy dla tego porzuci swą sztukę, iż inaczéj człowieka oddać niemoże, jak z nosem, z oczami i t. d.? tak też brzydkie namiętności nie są plamami w malowidle, ale nierozdzielnemi rysami obrazu człowieka.“

W innem miejscu mówi:

„Cnota jestto ta piękność boska, ta prawda

wyższa, i ztąd wielka różnica między poczciwością a cnotą. Cnota nietylko objawia się przez postępki, ale przez wewnętrzną wartość jest cnotą; poczciwość jest powierzchowne okazywanie cnoty; cnotliwi ludzie mają cnotę z swéj wewnętrznéj wartości, i niedbają, co o nich ludzie powiedzą, czy ich potępią lub pochwalą; poczciwi zaś są ludzie, którzy chodzą po czci, i tylko dbają o imię dobre między ludźmi, czyli o cześć; a tacy ludzie mogą być zbrodniarzami, jeżeli tylko potrafią ukryć przed ludźmi swe zbrodnie. Jak ludzie we wszystkiém upatrują zysk lub stratę, tak też poczciwość nie jest owocem ich duszy, ale potrzebą i korzyścią; uważają ludzie cnotę za nieodbitą rzecz, do osiągnienia dobrego imienia, znaczenia i innych zysków, i są z potrzeby cnotliwymi. W książkach moralnych dla ludu i dla dzieci jest to wielkim błędem, iż pisarze starają się najbardziéj w przykładach, t. j. w powieściach cnotę pod względem tylko zysku wystawiać: i tak n. p. dobre dziecko zawsze jabłek dostaje, niedobre karę odbiera, poczciwemu człowiekowi zawsze się powodzi, ma urodzaj, bydło mu się chowa i t. p., a niepoczciwy zawsze jakichś doznaje nieszczęść i przeciwności. Z wszystkich przymiotów cnoty, zysk jest jéj najsłabszą stroną; bo nie jestże cnota najczęściéj w nędzy i ucisku? Niemażto cnota wznioślejszych przymiotów, potężniéjszych powabów, jak sam zysk tylko? Człowiek, który tylko z strony zysku ma wystawioną cnotę, takiemi naukami napojony, słabo do cnoty przywiązany, i niezachwiany w niéj trwać nie będzie, gdy go przeciwności nacisną, i gdy zysk z strony przeciwnéj ujrzy, jak się to zwykle zdarza. A tak podług tych zasad poczciwość jestto zarabianie sobie bogactw i innych korzyści godziwym, przyjętym między ludźmi sposobem; nieuczciwość zarabianie sobie majątku i t. d. niegodziwym, niezwykłym sposobem. Z takiego pojęcia cnoty, wynika powszechny między ludźmi egoizm, samolubstwo, brak poświęcenia się jednych dla drugich. Wystawiam sobie, jak w oczach samoluba, nie może być większego głupstwa, większéj niedorzeczności, jak poświęcać swoje dobro, dla dobra drugiego człowieka.“

W innéın miéjscu mówi:

„Lecz, żeby mi nie zarzucono, że moje przekonania z ciemnego i fałszywego zapatrywania się, z hypokondryi pochodzą, wnijdźmy tylko bliżéj w szczegóły życia powszechnego. Jeszcze się w żadném towarzystwie nie znajdowałem, gdzieby najbogatszemu człowiekowi, chociaż jest głupi i samolub, nie okazywano największych oznaków szacunku, największych atencyi, żeby mu pierwszego miéjsca wszędzie nie dawano; a chociaż ten przesąd oddawna satyrami i komedyami wyśmiany, okrzyczany tysiącznemi wrzaskami moralistów, tak, że uszy bolą słuchać, tak, że spomnienie samo o tych morałach ckliwość wzbudza, i chociaż to dla mnie największém nudziarstwem jest, jeszcze stutysiączny pierwszy raz o tém mówić, czemużto jednak, chociaż ludzie o téj słabości wiedzą i są przekonani, ciągle ta sama przywara trwa? Czemuż na świecie nie klassyfikują ludzi podług ich wartości, nauki i cnoty, ale podług znaczenia i majątku? Nie widziałem jeszcze ani razu, ażeby w dobraném towarzystwie ubogi uczony, zasiadał pierwsze miéjsce, tylko zawsze książe lub hrabia, często z bardzo ograniczonym rozumem. Ubogi zaś zawsze traktowany jest sposobem protekcyjnym, z niejakiéj łaskawości cierpiany jest w towarzystwie. Ileż to razy romansami i zawartemi w nich morałami starano się dowieść, że w małżeństwie nie majątek, tylko miłość i szacunek wzajemny, podobieństwo i dobór charakteru, szczęście stanowi, a jednak, ile razy w dobraném towarzystwie powiedzą, młody ten człowiek dobrze się żeni, panna ta dobrze idzie za mąż; to nie znaczy: że przyszły małżonek będzie człowiek zacny, rozumny, przyjemny, tylko, że tyle a tyle ma pieniędzy. Niemasz pewnie już człowieka tyle ograniczonego, któryby utrzymywał n. p. że chłop nie jest równie człowiek dobry jak inny, któryby haniebną, a dawniéj ulubioną powiastkę powtarzał, że chłopi od Chama pochodzą i t. p. Nikt nie śmie z podobném się odezwać zdaniem, bo wie, jakby go za to opinia publiczna straktowała; nie idzie zatém, żeby przesąd ten już był ze szczętem wykorzeniony, gdyż jestto dawne przysłowie: czego się skorupka z młodu napije, tém zawsze na starość traci; dla tego mimo wszelkiego ukrywania się, bo wstyd jest wydać się z podobném uczuciem; przecież przed okiem pilnego badacza ludzi, nie może nic się ukryć, i baczności jego nie ujdzie mimowolne czasem słówko, które piętnuje zamknięte uczucie. Na przykład: wiele to razy słyszałem pana, uskarżającego się na chłopa jakiego, który za wyświadczone dobro, niewdzięcznością mu się wypłacił, powtarzającego przysłowie równie hańbiące dawny wiek, jak owa przypowiastka o Chamie: „smarować chłopa miodem, to gnojem śmierdzi.“ Jak żeby w innym stanie, równie wiele nie było niewdzięcznych ludzi, a między chłopami wielu wdzięcznością odpłacających. Któżto nie posłyszał, jak zaraz od młodu swym dzieciom wzgardę dla chłopów sami rodzice wpajają, mówiąc, gdy są niegrzeczne i krnąbrne: „jesteś, jak chłop!“ Jak żeby niegrzecznych i niedobrych ludzi, nie było równéj liczby w innym stanie, jak w chłopskim; są niewdzięczni chłopi, prawda; tak jak są niewdzięczni panowie, niewdzięczni kupcy, niewdzięczni rzemieślnicy; są niedobrzy chłopi, tak jak są niedobrzy ludzie w każdym innym stanie. Lecz chłopi w ogólności są względem siebie nawzajem bardzo grzeczni, względem ludzi innego stanu jeszcze grzeczniéjsi; nie znają oni téj grzeczności światowéj, zwykle obłudnéj, zasadzonéj na przyjętych etykietach, komplementach; tylko znają tę grzeczność, która w ich obycza-

jach jest przyjętą; która zaś grzeczność jest lepszą, czy światowa, czy prosta chłopska, nie chcę tu dysputować, tylko powiadam, że jest bardzo niesłusznie, chłopa nazywać niegrzecznym, i takie wyobrażenia w dzieci wpajać. Chłopa pogardzającego drugim człowiekiem, witającego niegrzecznie i dumnie drugiego, odzywającego się ofukliwie, opryskliwie do drugiego człowieka, nigdy (chyba w pijaństwie lub gniewie) nikt nie usłyszy; ludzi zaś tak się zachowujących w innym stanie, wielu poznałem, i tych wypada niegrzecznymi nazywać.“

Mnóstwem innych przykładów wystawia autor, jak to ludzie niezgodni są z zasadami, które pozornie wyznają, jak nieszczerze je wykonywają. Niemożna mu nie przyznać, że praktyczne przykłady ugruntowane są na prawdzie i na codziennem doświadczeniu. Oczekuję sądu publiczności o tych wyimkach, które na próbę całości służyć mogą; a gdy dobre znajdą przyjęcie, nieomieszkam dopełnić woli zmarłego, i wydam jego pamiętniki.

W. A. W.

Święty ogień w Persyi.

Bitumen fluidum. Das Erdöl. L'huile minérale.

Jestto najdawniejsze oświecenie gazowe, które się już przed półtrzecia tysiącami lat paliło, i jeszcze pali. Na zachodnim brzegu morza Kaspijskiego, niedaleko Baku — stołeczne miasto Chanatu prowincyi Perskiej Szyrwan, — znajdowało się na górze pyraeum, czyli ognisko wiecznego ognia Gwebrów, tych to ubóstwiających ogień czarnoxiężników, i następców perskiego proroka Zoroastra. Ogień wieczny palił się i pali dotąd w jaskini, dwadzieścia sążni długiej, dwa sążnie głębokiej, skalistą powierzchnią mającej. Płomień ten wzbija się trzy sążnie pod niebiosy, podsycanym będąc naftą, która obficie z ziemi wytryska. Jakoż w niejakiej odległości, znajdują się źródła, z których naftę czerpią. Lecz ta zapalona, rozpościera czarny ścisły dym i nieprzyjemny zapach, kiedy ogień święty, żadnego z siebie nie wydaje dymu ani zapachu, i służy Gwebrom do gotowania, ogrzewania i światła. W tym celu, wsadzają oni w ziemię trzcinę, gliną powleczoną, i zapaliwszy świecę, przytykają ją do górnego końca; wychodzący przez trzcinę gaz zapala się i pali jak stoczek. Kilka wiorst naokół świętego ognia, napełniona jest ziemia naftą, czyli olejem ziemnym. Wszędzie, gdzie się w ziemi zrobi otwór, przytknąwszy ogień, zajmuje się płomień, który sam z siebie nie gaśnie. W prowincyi około Baku, gdzie się ta nafta, czyli ten gaz znajduje, ani w r. 1822, ani w r. 1828, ani w r. 1831 morowe powietrze ludzi nie zarażało, chociaż w okolicy tego miejsca, strasznie grasowało: tak ta tęgość olejna, szkodliwe powietrze oddala. Podobne oleje ziemne znajdują się na wielu wyspach archipelagu greckiego na śródziemnem morzu, jako też w Francyi, w Włoszech, w Niemczech, w Anglii, Mołdawii i zawsze wypływają z rozpadlin skał. Są najczęściéj w skałach warsztowych, to jest w takich, które później przez jakie zburzenie ziemi powstały. Te oleje wypływają zwykle z wysmażenia żywicy z węgli ziemnych, przez podziemne ognie, co się stwierdza tém, ponieważ po wybuchnieniu wulkanów, potoki oleju ziemnego z rozpadlin skał strumieniami płynąć zaczynają. Torf bywa także przejęty tą naftą, fosforem, bitumem czyli tłustością ziemną, znajdującą się na wszystkich błotach, w postaci zielono czerwonéj rudowizny, która się też tłusto, siarczysto pali. W roku 1835 w Szkocyi w torfie znaleziono trupy od kilku wieków bynajmniéj nie zepsute, zapewne ztąd, że tą naftą zostały nabalsamowane, jak niegdyś u Egipcyan naftą, asfaltem z jeziora Palestyny nazwanego Asfalt, mumie były balsamowane. Na błotach, łąkach, cmentarzach, i na bagnistych miejscach, z zgniłych zwierzęcych ciał powstające, i w ciemności widzialne migające się światełka [Irrlichter], skrzatki nazywane, jestto bez wątpienia z ziemi powstający fosforyczny wodoród, albo z nim zmieszane palące się, albo przynajmniéj świecące się gatunki tego gazu. Ten olej nafty używany bywa do palenia w lampach, do lakierów, pokostów, do kunsztownych ogniów, i jako pewne lekarstwo na rany i zewnętrzne bole. Arabowie i Turcy smarują nim śle i rzemienie na koniach, ponieważ jego wonia kąsające owady, bąki [die Stechfliegen] odpędza.

Anemona pratensis, zawilec łączny, sanek.

(Wiesenanemone.)

Jest to roślina trwała. Rośnie na suchych i piaszczystych gruntach, osobliwie na wzgórkach na słońce wystawionych. Jest jéj kilka między sobą różniących się gatunków. Wszystkie rozmnażają się z korzenia lub z nasienia. W borach, gdzie ziemia przez zimę igliczem, liściem lub mchem ciepło pokryta, już w lutym w ciepłych dniach z pod śniegu wyrastają bez liścia na kosmatych ogonkach kupkami kwiaty, które lud nazywa pospolicie Sanek. Ma na cienkich szypułach, ogonkach, czasem przeszło na stopę długie, dwa razy pierzate, bardzo kształtne krzami z jednego korzenia wyrastające liście. Z korzenia bezpośrednio między tém liściem wyrasta jeden kosmaty pręt czyli łodyga prosta, dęta, blizko kwiatu jakby kołnierzykiem w drobne ku górze sterczące kosmate listeczki w koło obrosła. Na końcu téj łodygi powstaje tylko jedna, przy osadzie meszkiem obrosła, ku południowi zwrócona, na dół owisła pąkowka, z której się rozwija mały, dzwonkowaty, ciemno modry, sześćlistny kwiat. Każda osobno nowo odrastająca roślina przez całą wiosnę, lato i przez jesień ma po jednym kwiecie. Nasiennik w kwiecie, jest obrosły wielu żółtemi na dnie owocowém stojącemi pręcikami tak, jak zwyczajny mak, dla tego po-



Zawileo łączny (Sanek).

dług Lineusza należy ta roślina do 13 klassy, nazywanéj z greckiéj Polyandria (polys znaczy wiele) Wielopręcikowa, Vielmännige. Nasienie powstaje w jednéj kosmatéj główce, lecz każde ziarnko ma osobno długi kończaty listeczek.

Podczas wzrostu ta roślina z wiosennych wdzięków swego kwiatu, każdemu jest miła. Pył dla pszczół na miód, ale też korzeń i cała roślina ma straszną ostrość, ztąd jest bardzo szkodliwa. Roztarta tak mocno działa na oczy, że z nich łzy płyną, nabrzmiewają, i kilka dni są napuchłe. Prócz kóz i owiec, bydło świeżéj nie tyka.

Po utracie wzrostu, wraz z inną trawą ususzona, służy na paszę dla bydła. Górale ją zbierają, suszą i do krajów, którym na aromatycznych zbywa roślinach, w handel przesełają. Wieśniaczki zaś jako piękne ziele w rychłéj wiośnie zbierają, bukiety z kwiatów robią, borówia gałązki z zielonemi listeczkami w nie wplatają, i w miastach przedają.

W technologii ta roślina używana w aptekach na lekarstwa wewnętrzne i zewnętrzne. Z miodu oddzielają wosk na świece i na inne w techniczném użyciu potrzeby. Kwiatami z ałunem gotowanemi, nici i płótno zielono farbować można. J....

Piosnka żółnierska.

Jedzie żołnierz borem lasem,
Przymierając głodu czasem:
Chleba, soli nieżałować,
Trza żołnierza poratować.

Suknia na nim poblakuje
Wiatr dziurami przelatuje,
Jadą, jadą wywijają
Na wojenkę wysełają.

I jaćbym też z wami jechał
Kiéjby mi kto konia siodłał.
Starsza siostra wyskoczyła,
Konika mu kulbaczyła.

A ta średnia list podaje
A ta młodsza krzyczy, łaje;
Wy nie płaczcie siostry brata,
Wróci nam się za trzy lata.

Tu nadchodzi rok, półtora,
Huzarowie jadą z pola:
Witajcie wy huzarowie,
Daleko tam brat na wojnie?

My z wojenki też jedziemy.
Twego brata nie wieziemy,
Leżyć on tam na Wołyniu,
Trzyma głowę na kamieniu.

Konik jego, kole niego,
Grzebie nogą, żałuje go,
Już wygrzebał pod kolana
Chce zachować swego pana.

Pókiś ty był panie zdrowy,
Jadał ci ja owies goły,
Teraz nie mam rżanéj słomy;
Rozwleką cię kruki, wrony!

Kruki, wrony oblatują,
I oczy mu wydziobują. —
Lepsza w domu groch, kapusta,
Niż na wojnie kura tłusta.

Lepsza w domu kapuścina
Niż na wojnie cielęcina, —
Wolałbym ja łąkę kosić,
Niż na wojnie szablę nosić.

Lepiéj w domu pługiem orać,
Niż na wojnie szablą dołać —
Bo na wojnie szable kruszą
Nie jeden się żegna z duszą.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)